

OSTRZENIE MIECZA



Od dzieciństwa uwielbiałem snuć opowieści, prawdziwe i nieprawdziwe. W ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że da mi to swobodę ekspresji, która stanie się ogromnie pomocna po oświeceniu.

Wielu ludzi staje się oświeconymi, ale nie wszyscy stają się mistrzami – ponieważ nie umieją wyrażać siebie, nie umieją przekazać tego, co czują, komunikować tego, czego doświadczyli. W moim przypadku tak się nie stało. Myślę, że tak niewielu ludzi stało się mistrzami, ponieważ nie ma żadnych kursów, które tego uczą. Mogę powiedzieć to z całkowitą pewnością tylko o sobie.

Kiedy przyszło oświecenie, przez siedem dni nie mogłem nic mówić. Cisza była tak głęboka, że nie pojawiała się nawet sama koncepcja mówienia. Po siedmiu dniach, powoli, gdy przyzwyczałem się do tej ciszy i błogości, bardzo naturalne stało się pragnienie podzielenia się nią, ogromna tęsknota podzielenia się nią z tymi, których kochałem.

Zacząłem rozmawiać z osobami, z którymi w jakiś sposób byłem blisko, z przyjaciółmi. Od lat rozmawiałem z tymi ludźmi o wszystkim. Cieszyło mnie tylko to jedno ćwiczenie – mówienie – dlatego mówienie o oświeceniu nie było zbyt trudne, chociaż całe lata zajęło udoskonalenie tego tak, by w słowa wprowadzić coś z mojej ciszy i radości.

1953-1956

STUDENT NA UNIWERSYTECIE

Nauczyciele-teoretycy są bardzo biegli w niszczeniu wszystkiego, co piękne – komentarzami, interpretacjami, tak zwanym wykształceniem. Wszystko czynią tak ciężkim, że nawet poezja staje się przy nich nie-poetyczna.

Na uniwersytecie nigdy nie chodziłem na zajęcia z poezji. Raz po raz wzywał mnie kierownik wydziału i pytał: „Chodzisz na inne zajęcia, dlaczego nie przyjdiesz na poezję?”

Odpowiadałem mu: „Ponieważ chcę zachować moje zainteresowanie poezją. Kocham poezję i to dlatego. Wiem doskonale, że twoi profesoro- wie są absolutnie nie-poetyccy, nigdy w życiu nie zaznali poezji. Wiem to bardzo dobrze. Ten, kto naucza poezji na uniwersytecie, co rano chodzi ze mną na spacer. Nigdy nie widziałem, by patrzył na drzewa, słuchał ptaków czy obserwował piękny wschód słońca”.

Na moim uniwersytecie wschód i zachód słońca były niesamowicie piękne. Uniwersytet był położony na wzgórzach otoczonych ze wszystkich stron mniejszymi wzgórzami. Wędrowałem po całych Indiach i nigdy nie widziałem piękniejszych zachodów i wschodów słońca. Z jakiegoś nieznanego, tajemniczego powodu Uniwersytet Sagar leży w takiej okolicy, gdzie chmu- ry o wschodzie i zachodzie słońca stają się tak kolorowe, że nawet ślepiec stałby się świadomy, że dzieje się coś niezwykle pięknego.

Nigdy nie widziałem profesora, który nauczał poezji na uniwersytecie, patrzącego na zachód słońca, nie zatrzymywał się ani na chwilę. A kiedy mnie zauważał, jak patrzę na zachód czy wschód słońca albo na drzewa czy ptaki, pytał: „Dlaczego tu siedzisz? Wyszedłeś na poranny spacer, więc rób to, co masz robić!”

Odpowiedziałem mu: „To nie jest ćwiczenie dla mnie. Ty rób to ćwicze- nie, dla mnie to jest romans”.

Gdy padał deszcz, ten profesor nigdy nie wychodził na dwór. Kiedy tylko padało, szedłem do jego domu, pukałem do drzwi, wołałem, żeby wyszedł, ale on mówił tylko, że pada deszcz.

Mówiłem mu: „To najpiękniejsza pora na spacer, bo ulice są zupełnie puste. Spacer w deszczu bez parasola jest tak piękny, tak poetycki!”

Myślał, że zwariowałem – ale ktoś, kto nigdy nie szedł w deszczu, pod drzewami, nie może zrozumieć poezji. Powiedziałem kierownikowi wydzia- łu: „Ten człowiek nie jest poetycki, wszystko niszczy. Jest wyuczony, ale poezja jest czymś tak dalekim od nauki, że nie ma dla niego możliwości spotkania z poezją”.

Uniwersytety zniszczyły w ludziach zainteresowanie i miłość do poezji. Zniszczyły całe wyobrażenie o tym, jakie powinno być życie, coraz bardziej czynią z życia przedmiot handlu. Uczą cię, jak zarabiać więcej pieniędzy,

ale nie uczą, jak żyć głęboko, pełnią życia – a w takim życiu możesz uzyskać przebłytki. Są w nim małe drzwi i okna, otwarte na to, co najwyższe. Mówią ci o wartości pieniędzy, ale nie o wartości kwiatów róży. Mówią ci o wartości bycia premierem albo prezydentem, ale nie o wartości bycia poetą, malarzem, śpiewakiem czy tancerzem. Uważa się, że to wszystko jest tylko dla szaleńców.

Po dyplomie wyjechałem z Jabalpur, bo jeden z profesorów Uniwersytetu Sagar, S. S. Roy, stale mnie prosił, pisał do mnie i dzwonił, żeby mi powiedzieć: „Po magisterium przyjedź tu na studia podyplomowe”.

Z Uniwersytetu Jabalpur do Uniwersytetu Sagar nie jest daleko, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów. Uniwersytet Sagar na wiele sposobów jest jedyny w swoim rodzaju. W porównaniu z Uniwersytetami Benares czy Aligarh – gdzie było dziesięć, dwanaście tysięcy studentów – był to mały uniwersytet. Tamte dwa są jak Oxford i Cambridge, wielkie uniwersytety, wielkie nazwy. Uniwersytet Sagar liczył tylko tysiąc studentów i prawie trzystu profesorów, więc na każdego profesora przypadało trzech studentów. Było to niezwykle miejsce, pewnie nigdzie w świecie nie znajdzie się inny uniwersytet, gdzie każdy profesor ma trzech studentów.

Założyciel tego uniwersytetu znał wszystkich najlepszych profesorów na całym świecie. Urodził się w Sagar, a nazywał się doktor Harisingh Gaur. Był światową sławą w dziedzinie prawa i zarobił mnóstwo pieniędzy, ale nigdy nie dał ani grosza żadnemu żebrakowi ani instytucji czy organizacji charytatywnej. Znany był jako najbardziej skąpy człowiek w całych Indiach. A potem założył uniwersytet i obdarował go całym dorobkiem swojego życia – były to miliony dolarów.

Powiedział do mnie: „Właśnie dlatego byłem skąpcem, nie było innego sposobu. Byłem biedakiem, urodziłem się jako biedak. Gdybym dawał pieniądze na organizacje dobroczynne, na szpital, żebrakom, sierotom, ten uniwersytet nigdy by nie powstał”. Przez całe życie miał ten jeden pomysł, by w miejscu jego urodzenia stanął najlepszy uniwersytet w świecie. Z pewnością stworzył jeden z najlepszych uniwersytetów. Dopóki żył, sprowadzał tu profesorów z całego świata. Dawał im podwójną albo potrójną pensję, cokolwiek chcieli, a pracy nie było, bo mieli tylko tysiąc studentów. Otworzył wszystkie wydziały, na jakie może sobie pozwolić tylko taki uniwersytet jak Oxford. Były tam dziesiątki wydziałów, bez studentów, ale z pełną ob-

sadą personelu – kierownikiem wydziału, docentami, profesorami i wykładowcami. Mówił: „Nie przejmuj się. Najpierw trzeba stworzyć uniwersytet, i to najlepszy. Studenci przyjdą, muszą się tu pojawić”.

Później profesorowie i dziekani zaczęli szukać najlepszych studentów. W jakiś sposób profesor S. S. Roy, który był kierownikiem wydziału filozofii, upatrzył sobie właśnie mnie.

Co roku chodziłem na Uniwersytet Sagar na konkursy w debatowaniu. Przez cztery lata wygrywałem je, a on przez cztery lata mnie słuchał – był jednym z sędziów. Czwartego roku zaprosił mnie do swego domu i powiedział: „Posłuchaj, czekałem na ciebie cały rok. Wiem, że za rok znowu będziesz na kolejnych debatach. W dziwny sposób przedstawiasz swoje argumenty. Czasem jest to tak dziwne, że zastanawiam się... jak ci się udało spojrzeć na to w taki sposób? O paru sprawach sam rozmyślałem, ale nigdy nie patrzyłem na to w taki sposób. Być może porzucasz wszelkie aspekty, o których mógłby pomyśleć zwyczajny umysł i wybierasz tylko ten, który raczej nikomu nie przyjdzie do głowy. Przez cztery lata wygrywałeś tylko dlatego, że twój argument jest jedyny w swoim rodzaju i nikt nie jest gotowy na niego odpowiedzieć. Oni nawet o nim nie pomyśleli, więc są po prostu w szoku. Twoich przeciwników pokonujesz w takim stylu, że aż mi jest ich żal, ale co możemy na to poradzić? Daję ci 99 punktów na 100. Chciałbym dawać ci więcej niż 100, ale nawet te 99... ludzie by powiedzieli, że faworyzuję jednego studenta. Mówią, że to też za dużo, bo nikt nie dostaje więcej niż 50. Zaprosiłem cię na obiad do mojego domu, aby poprosić cię o opuszczenie Uniwersytetu Jabalpur i przybycie tutaj. Jesteś na czwartym roku, wkrótce skończysz studia. Przyjedź tutaj na studia podyplomowe. Nie może tak być, abyś u mnie nie studiował. Jeżeli ty tu nie przyjedziesz, to ja pójdę na Uniwersytet Jabalpur”.

Był bardzo znaną osobistością, gdyby chciał przyjechać na Uniwersytet Jabalpur, wszyscy byliby ogromnie szczęśliwi, widząc go na stanowisku kierownika wydziału. Powiedziałem: „Nie, nie rób sobie tyle kłopotu, mogę tu przyjechać, kocham to miejsce”. Jest to zapewne najlepiej położony uniwersytet w świecie, leży na wzgórzach w pobliżu ogromnego jeziora. Jest tam tak cicho, są olbrzymie drzewa, wiekowe... już samo bycie tam jest dostatecznym wykształceniem.

Doktor Harisingh Gaur musiał być wielbicielem książek. Podarował całą swą bibliotekę, a zdołał zebrać mnóstwo książek z całego świata. Dzieło

jednego człowieka... niezwykle rzadko spotyka się coś takiego. On sam, całkowicie sam stworzył swój Oxford. Oxford powstawał przez tysiąc lat, pracowało nad tym tysiące ludzi. Ten człowiek stworzył prawdziwe dzieło sztuki. Sam, z własnych pieniędzy, położył na szali całe swe życie.

Kochałem to miejsce. Powiedziałem: „Nie martw się, przyjadę, ale ty widziałeś mnie tylko na debatach. Nie wiesz o mnie zbyt wiele, mogę sprawić ci kłopot, mogę być utrapieniem. Lepiej, żebyś dowiedział się o mnie wszystkiego, zanim podejmiesz decyzję”.

Profesor S. S. Roy powiedział: „Nic nie chcę o tobie wiedzieć. To, co wiem po tym, jak cię zobaczyłem, twoje oczy, to, jak się wypowiadasz, jak podchodzisz do rzeczywistości, to wystarczy. I nie próbuj straszyć mnie kłopotami i utrapieniem, możesz robić, co tylko chcesz”.

Gdy pierwszego dnia przyłączyłem się do jego grupy, profesor S. S. Roy objaśniał koncepcję Absolutu. Był autorytetem w temacie Bradleya oraz Shankary. Obaj wierzyli w Absolut – takie imię miał ich Bóg.

Zapytałem go o coś, co sprawiło, że bardzo się zbliżyliśmy do siebie, otworzył przede mną swoje serce. Zapytałem go po prostu: „Czy twój Absolut jest doskonały? Czy zakończył już swój rozwój, czy nadal się rozwija? Jeżeli nadal się rozwija, nie jest Absolutem, jest niedoskonały, ponieważ tylko wtedy może dalej wzrastać. Jeśli coś jeszcze jest możliwe, trochę więcej gałęzi, więcej kwiatów, oznacza to, że jest żywy. Jeżeli jest zakończony, kompletny, całkowicie skończony, a takie jest znaczenie słowa *Absolut*, nie ma możliwości wzrastania – czyli jest martwy. Powiedz to jasno, ponieważ Absolut dla Bradleya i Shankary reprezentuje Boga, jest to ich filozoficzne imię Boga. Czy twój Bóg jest żywy czy martwy? Musisz odpowiedzieć na to pytanie”.

On był naprawdę uczciwym człowiekiem. Poprosił: „Daj mi czas do namysłu”. Zrobił doktorat z Bradleya w Oxfordzie, drugi doktorat z Shankary w Benares i uważano go za największy autorytet w sprawie tych dwóch filozofów, ponieważ próbował udowodnić, że Bradley na Zachodzie i Shankara na Wschodzie doszli do takich samych wniosków. Poprosił mnie, by dać mu czas do namysłu.

– Przez całe życie pisałeś o Bradleyu, Shankarze i Absolucie, przeczytałem twoje książki, twoje tezy, te wydane. Przez całe życie tego nauczałeś, czy nikt nie zadał ci takiego prostego pytania?

– Nikt go nigdy nie zadał, mało tego, nawet ja nigdy nie pomyślałem, że to, co doskonałe, musi być martwe. Jeśli coś jest żywe, musi być niedoskonałe. Ta koncepcja nigdy nie przyszła mi na myśl. Proszę, daj mi czas.

– Masz tyle czasu, ile tylko potrzebujesz. Będę przychodził co dzień i zadawał to samo pytanie.

Trwało to pięć, sześć dni. Gdy tylko wchodziłem na zajęcia, on zaczynał drzeć. Wstawałem i mówiłem:

– Moje pytanie.

– Wybacz mi – odpowiadał. – Nie mogę się zdecydować. Po obu stronach jest trudność. Nie mogę powiedzieć, że Bóg jest niedoskonały i nie mogę powiedzieć, że Bóg jest martwy. Zdobyłeś moje serce.

Kazał przenieść moje rzeczy z akademika do swojego domu. Powiedział: „Dość tego, nie możesz mieszkać w akademiku. Musisz zamieszkać ze mną i z moją rodziną. Wiele muszę się od ciebie nauczyć, ponieważ takie proste pytanie nigdy nie przyszło mi do głowy. Skasowałeś wszystkie moje stopnie naukowe”.

Mieszkałem z nim przez prawie sześć miesięcy, zanim wyjechał na inny uniwersytet. Chciał, bym jechał z nim, ale zastępca dyrektora sprzeciwił się temu. Powiedział: „Profesorze Roy, możesz jechać. Profesorowie mogą przyjeżdżać i wyjeżdżać, ale drugiego takiego studenta nie znajdziemy. Nie dam mu jego dyplomów i nie pozwolę opuścić uniwersytetu. Napiszę do twego uniwersytetu, że mojego studenta nie wolno im przyjmować!”

Ale on nadal mnie kochał. Było to coś bardzo rzadkiego. Przyjeżdżał ze swojego uniwersytetu prawie co miesiąc, żeby się ze mną zobaczyć, przejeżdżał ponad trzysta kilometrów. Przyjeżdżał przynajmniej co drugi miesiąc po to tylko, by się ze mną spotkać, posiedzieć razem.

– Mam lepszą pensję i wszystko jest tam bardziej komfortowe – mówił. – Ale brakuje tam ciebie. Zajęcia są martwe. Nikt nie zadaje pytań tak jak ty, pytań, na które nie można odpowiedzieć.

– To taka umowa między nami, że nazywam pytaniem tylko takie pytanie, na które nie można odpowiedzieć – powiedziałem do niego. – Jeżeli można byłoby na nie odpowiedzieć, co to za pytanie?

Chodziłem w hinduskich sandałach z drewna. Sannyasini używają ich od wieków, dziesięć tysięcy lat albo dłużej. Sandały są z drewna, ponieważ sannyasini unikają skóry, która mogłaby pochodzić z jakiegoś zabitego zwie-

rzęcia, i to zabitego tylko w tym celu, bo najlepsza skóra jest z bardzo młodych zwierząt. Dlatego sannyasini unikają skóry i noszą drewniane sandały. Takie sandały robią tyle hałasu, że z pół kilometra słysząc, gdy ktoś idzie. A na betonowej drodze albo na gankach uniwersytetu... słyszą je wszyscy. Cały uniwersytet wiedział, że wchodziłem albo wychodziłem, nie potrzeba było mnie widzieć, moje sandały wystarczały.

Gdy pierwszego dnia wszedłem na zajęcia z filozofii, poznałem doktora Saxenę. Tylko kilku profesorów naprawdę kocham i szanuję. Ci dwaj należą do moich ulubionych profesorów, doktor S. K. Saxena i doktor S. S. Roy, a to dlatego, że nigdy nie traktowali mnie jak studenta.

Gdy wszedłem na pierwsze zajęcia doktora Saxeny, w moich drewnianych sandałach, spojrział na nie nieco zdumiony i zapytał:

- Dlaczego nosisz drewniane sandały? Robią tyle hałasu.
- Po prostu dla zachowania uważności.
- Uważności? Czy są jeszcze jakieś inne sposoby, dzięki którym starasz się zachować uważność?
- Staram się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w każdy możliwy sposób, idąc, siedząc, jedząc, nawet śpiąc. Może mi nie uwierzysz, ale niedawno udało mi się zachować uważność nawet we śnie.
- Koniec zajęć, a ty chodź ze mną do biura – powiedział.

Cała grupa sądziła, że już pierwszego dnia narobiłem sobie kłopotów. Zabrał mnie do swojego biura i zdjął z półki swoją pracę magisterską, którą napisał przed trzydziestu laty. Była o świadomości.

- Weź ją – powiedział. – Wydano ją po angielsku, wielu ludzi w Indiach prosiło o pozwolenie na przetłumaczenie jej na hindi. Wielcy nauczyciele-teoretycy, znający doskonale i angielski, i hindi. Nikomu nie pozwalałem, bo to nie jest kwestia znajomości języka. Szukałem kogoś, kto wie, co to jest świadomość. Widzę w twoich oczach, na twojej twarzy, w sposobie odpowiadania... musisz przetłumaczyć tę książkę.
- To będzie trudne, bo nie znam za dobrze angielskiego i nie znam za dobrze hindi – odpowiedziałem. – Hindi jest moim macierzystym językiem, ale znam go tyle, co każdy. A ja wierzę w definicję języka macierzystego. Dlaczego języki nazywa się macierzystymi? Ponieważ matka mówi, a ojciec słucha, tak uczą się go dzieci. Tak nauczyła się go matka. Mój ojciec jest cichym mężczyzną. Moja matka mówi, a on słucha, tak nauczyłem się języ-

ka. To po prostu język mojej matki, nie znam go zbytnio. Hindi nigdy nie był przedmiotem moich studiów. Angielski znam odrobinę, na tyle że wystarczy na te tak zwane egzaminy, ale nie na przetłumaczenie książki, która jest pracą naukową. I ty dajesz ją studentowi?

– Nie martw się – rzekł. – Wiem, że sobie poradzisz.

– Jeżeli mi zaufasz, zrobię, co tylko mogę. Ale muszę ci powiedzieć, że jeżeli znajdę coś błędnego, zrobię notę w tym miejscu i napiszę, jak należy to poprawić. Jeżeli czegoś będzie brakowało, sprawdź tę notę i znajdziesz to, czego brakuje.

– Zgadzam się na to – powiedział. – Wiem, że wiele tam brakuje. Ale zaskakujesz mnie, nawet nie widziałeś tego tekstu, nawet go nie otworzyłeś, skąd więc wiesz, że czegoś będzie w nim brakowało?

– Bo widzę ciebie – odrzekłem. – Tak jak ty spojrzawszy na mnie poznałeś, że jestem właściwą osobą do przetłumaczenia tego tekstu, tak ja widzę, że doktor Saxena nie jest właściwą osobą, która powinna go napisać.

Spodobało mu się to tak bardzo, że wszystkim o tym opowiadał! Cały uniwersytet wiedział o tej rozmowie między nami. W ciągu dwumiesięcznych wakacji przetłumaczyłem tę książkę i dopisałem noty. Gdy mu je pokazałem, miał łzy radości w oczach.

– Doskonale wiedziałem, że czegoś tu brakuje, ale nie umiałem do tego dojść, bo nigdy nie praktykowałem. Starłem się zebrać wszelkie informacje o świadomości ze świętych pism Wschodu. Wiele zebrałem, a potem zacząłem wybierać. Prawie siedem lat zajęło napisanie mojej pracy.

Naprawdę wykonał wielką pracę akademicką – ale tylko akademicką.

– To akademicka praca, nie praca człowieka, który medytuje. Zrobiłem wszystkie te notatki o tym, że coś takiego może napisać tylko naukowiec teoretyk, ale nie człowiek, który medytuje.

– Gdybyś był jednym z egzaminatorów, nie obroniłbym doktoratu – powiedział, gdy przejrzał wszystkie strony. – Wybrałeś dokładnie te miejsca, co do których miałem wątpliwości, a ci głupcy, którzy mnie egzaminowali, niczego nie podejrzewali. Jeszcze to wszystko wychwalali...

Przez wiele lat był profesorem w Ameryce, a jego książka jest monumentalną pracą akademicką. Nikt jej nie krytykował, zapytałem więc:

– Co teraz zrobisz z tym tłumaczeniem?

– Nie mogę go wydać – odpowiedział. – W końcu znalazłem tłumacza, ale ty jesteś bardziej egzaminatorem niż tłumaczem! Zachowam je, ale nie mogę

go wydać. Twoje notatki i komentarze zniszczyłyby całą moją reputację, chociaż zgadzam się z tobą. W istocie rzeczy, gdybym miał taką możliwość, dałbym ci doktorat za same te notatki i przypisy, ponieważ znalazłeś dokładnie te miejsca, które tylko człowiek medytujący może znaleźć, a ktoś, kto nie medytuje, nigdy ich nie odkryje.

Tak więc całe moje życie od samego początku dotyczyło dwóch spraw: nie pozwalać na narzucenie mi czegoś nieinteligentnego, walczyć z wszelkimi głupotami, bez względu na konsekwencje, być racjonalnym, logicznym, do samego końca. Taka była jedna strona, której używałem wobec wszystkich ludzi, z którymi się stykałem. Druga była absolutnie prywatna, moja własna – stawanie się coraz bardziej uważnym, tak abym nie skończył jedynie jako intelektualista.

Przypominam sobie jednego z moich prodziekanów. Był historykiem znanym w całym świecie. Przez prawie dwadzieścia lat był profesorem historii w Oxfordzie, a po przejściu na emeryturę wrócił do Indii. Jego nazwisko znane było w całym świecie, wybrano go więc na prodziekana uniwersytetu, na którym studiowałem. Był miłym człowiekiem o pięknej osobowości, z ogromną wiedzą, wykształceniem i uznaniem, wiele książek było jego autorstwa.

Tak się złożyło, że w dniu, w którym objął stanowisko, były urodziny Gautamy Buddy. A urodziny Gautamy Buddy są ważniejsze niż czyjekolwiek inne, bo są też dniem jego oświecenia i dniem, w którym opuścił ciało. Tego samego dnia narodził się, doszedł oświecenia i zmarł.

Cały uniwersytet zgromadził się, aby wysłuchać, co ten człowiek powie o Gautamie Buddzie. Był wielkim historykiem, pisał o Gautamie Buddzie, mówił więc z wielkimi emocjami. Ze łzami w oczach powiedział:

– Zawsze czułem, że gdybym narodził się w czasach Gautamy Buddy, nigdy nie odszedłbym od jego stóp.

– Proszę, odwołaj swoje słowa – powiedziałem, gdy wstałem, zgodnie ze swoim zwyczajem.

– A dlaczego to? – zapytał.

– Ponieważ to nieprawda. Żyłeś w czasach Ramany Maharshiego. To był ten sam typ człowieka, z takim samym oświeceniem, a ja wiem, że ty nawet do niego nie poszedłeś. Kogo więc chcesz oszukać? Do Gautamy Buddy także byś nie poszedł. Otrzyj łzy, to krokodyle łzy. Jesteś po prostu

akademickim naukowcem, dlatego nic nie wiesz o oświeceniu ani o ludziach takich jak Gautama Budda.

W audytorium zapadła wielka cisza. Moi profesorowie obawiali się, że zostanę wyrzucony, zawsze się bali, że w każdej chwili mogę zostać wyrzucony. Kochali mnie i chcieli, żebym tam był. To tworzyło takie sytuacje, niezręczne... nikt nie wiedział, co robić, jak przełamać lody. Zdawało się, że w ciągu tych paru sekund minęły godziny. Był prodziekan... a to na pewno był człowiek inny niż wszyscy. Otarł łzy i poprosił o wybaczenie, bo może się mylił. Zaprosił mnie do domu, abyśmy porozmawiali o szczegółach. Ale przy całym uniwersytecie powiedział:

– Masz rację, nie poszedłbym do Gautamy Buddy, wiem o tym. Gdy to mówiłem, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Byłem rozemocjonowany, poniosło mnie. Tak, nigdy nie odwiedziłem Ramany Maharshiego za jego życia, a byłem bardzo blisko wiele razy. Wygłaszałem wykłady na Uniwersytecie w Madras, a stamtąd to tylko kilka godzin jazdy do Arunachal. Wielu znajomych mówiło mi, że powinienem go odwiedzić, a ja zawsze odkładałem to na później, aż on zmarł.

Cały uniwersytet nie mógł w to uwierzyć. Moi profesorowie nie mogli uwierzyć. Jego pokora dotknęła każdego. Szacunek do niego wzrósł ogromnie i zostaliśmy przyjaciółmi. Był bardzo stary, miał sześćdziesiąt osiem lat, a ja miałem tylko dwadzieścia cztery, ale zostaliśmy przyjaciółmi. Nigdy, nawet przez chwilę nie pozwalał mi odczuć, że był jakimś wielkim naukowcem, prodziekanem, że był w wieku mojego dziadka. Wręcz przeciwnie, powiedział do mnie:

– Nie wiem, co stało się tamtego dnia. Nie jestem pokorny. Będąc profesorem w Oxfordzie przez dwadzieścia lat, jeżdżąc po wielu uniwersytetach na całym świecie, stałem się bardzo egoistyczny. A ty zniszczyłeś wszystko w jednej chwili. Do końca życia będę ci za to wdzięczny. Gdybyś wtedy nie wstał, mógłbym wciąż wierzyć, że bym to zrobił. Ale teraz chciałbym... jeśli znajdę kogoś takiego, chciałbym usiąść u jego stóp i słuchać go.

– Więc siadaj i słuchaj – powiedziałem.

– Co?! – zapytał.

– Po prostu patrz na mnie. Nie zważaj na mój wiek, siadaj i słuchaj.

Może nie uwierzysz, ale ten stary człowiek siadał i słuchał mnie, cokolwiek chciałem mu powiedzieć. Rzadko spotyka się takich ludzi, którzy mają tak wiele odwagi i tak wiele otwartości.

Po tym dniu przychodził do mnie do akademika. Każdy był zdumiony tym, co się stało. Wprowadziłem go w takie zakłopotanie! Zabierał mnie do siebie, siadaliśmy, a on mówił: „Mów cokolwiek, chcę słuchać. Przez całe życie mówiłem, już zapomniałem słuchania. Mówiłem o rzeczach, o których nic nie wiem”. I słuchał mnie tak, jak uczeń słucha mistrza.

Moi profesorowie byli bardzo zdumieni. Pytali mnie: „Zaczarowałeś tego starca? A może on dzieciłniał na starość? Co się stało? Żeby z nim porozmawiać, musimy umawiać się wcześniej i czekać na swą kolej. Możemy go zobaczyć tylko wtedy, gdy nadejdzie czas umówionego spotkania. A do ciebie sam przychodzi, mało tego, jeszcze cię słucha. Co się stało?”

Odpowiadałem im: „To samo może stać się z wami, ale wy nie jesteście na tyle inteligentni, wrażliwi, nie macie takiego zrozumienia. Ten stary człowiek jest kimś naprawdę niezwykłym”.

1957-1966

PROFESOR

Ogromnie cieszyło mnie moje życie studenta. To, czy ludzie byli mi przeciwni, obojętni, czy mnie kochali, wszystko to było piękne. Wszystko to pomogło mi, gdy sam stałem się nauczycielem, gdyż mogłem poznać punkt widzenia studentów dokładnie wtedy, gdy przedstawiałem swój.

Moje zajęcia stały się debatami. Każdy mógł wątpić, dyskutować. Co jakiś czas ktoś przejmował się tym, co działo się z programem, bo na każdy temat było tak wiele argumentów. Mówiłem: „Nie martw się. To wszystko jest potrzebne, by wyostrzyć twoją inteligencję. Program to drobiazg, możesz go przeczytać w jeden wieczór. Jeśli masz wyostrzony umysł, znasz odpowiedzi, nawet go nie czytając. Jeśli nie masz wyostrzonego umysłu, można dać ci książkę, a i tak nie znajdziesz odpowiedzi. W książce o pięćciuset stronach odpowiedź musi być w jakimś jednym akapicie”.

Tak więc moje zajęcia były zupełnie inne. Wszystko należało omówić, zgłębić najbardziej jak można, z każdego punktu widzenia – i zaakceptować tylko wtedy, gdy twoja inteligencja czuła się zaspokojona. Gdy tak nie było, mogliśmy kontynuować dyskusję następnego dnia.

Byłem zdumiony, kiedy przekonałem się, że gdy coś omawiasz i odkrywasz wewnętrzną logikę, całą strukturę, nie musisz nic zapamiętywać. To twoje własne odkrycie, pozostaje z tobą, nie możesz go zapomnieć.

Moi studenci na pewno mnie kochali, bo nikt inny nie dawał im tak wielkiej swobody, nie obdarzał ich tak wielkim szacunkiem. Nikt inny nie dawał im takiej miłości, nie pomagał im w ostrzeniu inteligencji.

Każdy nauczyciel przejmował się swoim wynagrodzeniem. Ja nigdy nie odbierałem mojej pensji osobiście. Dawałem upoważnienie jakiemuś studentowi, mówiąc: „Pierwszego dnia miesiąca odbierz pieniądze i przynieś je do mnie. Jeśli będziesz ich potrzebował, możesz je zachować”.

Przez wszystkie lata na uniwersytecie ktoś inny odbierał moją pensję. Skarbnik wydający pieniądze przyszedł kiedyś do mnie i powiedział: „Chyba nigdy cię nie ma. Miałem nadzieję, że kiedyś przyjdiesz i będę mógł cię poznać. Skoro ty pewnie nigdy nie przyjdiesz do biura, to ja przychodzę do ciebie tylko po to, żeby zobaczyć kogoś takiego jak ty, bo niektórzy profesorowie pierwszy dzień każdego miesiąca zaczynają od przyścia po pensję wczesnym rankiem. Ciebie nigdy nie ma. Każdy student może tu przyjść z twoim podpisem i upoważnieniem, a ja nie wiem, czy twoja pensja do ciebie dotrze czy nie”.

Powiedziałem mu: „Nie przejmuj się, zawsze do mnie dociera”. Kiedy komuś ufasz, bardzo trudno jest go oszukać.

Przez wszystkie lata, gdy byłem nauczycielem, ani jeden student, któremu dałem upoważnienie, nie zabrał ani grosza, chociaż mówiłem: „To dla ciebie. Jeśli chcesz, weź wszystko. Możesz też zachować jakąś część. To nie jest pożyczka, nie musisz oddawać, ponieważ nie mam ochoty pamiętać, kto i ile pieniędzy jest mi winien. Są twoje, wszystko w porządku”. Ani jeden student nigdy nie wziął żadnej części wynagrodzenia.

Wszystkich nauczycieli interesowała tylko pensja, każdy chciał mieć coraz lepsze stanowisko. Nikogo tak naprawdę nie interesowali studenci i ich przyszłość, a zwłaszcza ich duchowe wzrastanie.

Widząc to, otworzyłem niewielką szkołę medytacji. Jeden z moich przyjaciół dał nam swój piękny bungalow i ogród, a także zbudował dla mnie świątynię z marmuru, na medytację, tak że co najmniej pięćdziesiąt osób mogło w niej siedzieć i medytować. Wielu studentów i profesorów, nawet prodziekanów, zrozumiało, czym jest medytacja.

W Indiach mahometanin nosi swój strój, hindus swój, ludzie z Pendżabu mają swój strój, z Bengalu swój, a z południowych Indii swój. Na przykład w południowych Indiach możesz nosić *lungi*, takie *dhoti*, które owijasz

wokół siebie. Potem zawija się je do góry tak, że sięga do kolan. Nawet na uniwersytetach profesorowie nauczają w tym stroju.

Uwielbiałem *lungi*, bo jest to bardzo prosty strój, najprostszy, nie potrzeba krawcowej, brania miary, nic, po prostu z każdego kawałka tkaniny można z łatwością zrobić *lungi*. Ale nie byłem w południowych Indiach, lecz w środkowych, gdzie *lungi* używają tylko włóczędzy, leniuchy czy ludzie z marginesu. To symbol, który mówi, że dany człowiek nie dba o życie społeczne, nie interesuje go, co inni o nim myślą.

Gdy zacząłem przychodzić na uniwersytet w *lungi*, wszystko na chwilę się zatrzymało: studenci wyszli z zajęć, profesorowie też. Gdy przechodziłem korytarzem, wszyscy stali i patrzyli, a ja do każdego machałem ręką – jakie dobre przyjęcie!

– Co się dzieje? – krzyczał prodziekan. – Zajęcia przerwane w połowie, profesorowie wyszli, cisza...

Kiedy mnie zobaczył, pomachałem mu, ale on nawet nie miał odwagi mi odpowiedzieć.

– Przynajmniej mi pomachaj – powiedziałem do niego. – Ci ludzie przyszli zobaczyć moje *lungi*.

Myślę, że podobało im się, ponieważ każdego dnia profesorowie przychodzili w pięknych ubraniach, najdroższych. Prodziekan szczególnie dbał o swoje ubranie i bardzo z tego słynął. Gdy wszedłeś do jego domu, byłeś zaskoczony – w całym domu wszędzie miał ubrania, był tam on, jego służący i te ubrania.

– Nawet gdy ty wchodzisz, nikt nie wychodzi z sali – powiedziałem. – A to biedne *lungi*, najuboższy strój – wyciągnęło ich z sali! Co dzień będę przychodził w tym *lungi*.

– Jeden dowcip, w porządku, jeden dzień, może być, ale niech to nie zajdzie za daleko – powiedział.

– Gdy coś robię, robię to do samego końca – odparłem.

– Co to znaczy? – zapytał – Chcesz codziennie przychodzić tu w *lungi*?

– Teraz to właśnie zamierzam – rzekłem. – Jeżeli ktoś mi przeszkodzi, mogę nawet przyjść bez *lungi*. Masz na to moje słowo. Jeżeli ktoś mi przeszkodzi w jakikolwiek sposób, jeśli spróbujesz powiedzieć, że to niewłaściwe dla profesora, to czy tamto, nie obchodzi mnie to... Jeżeli będziesz cicho, zostaną w *lungi*, jeżeli zaczniesz robić coś przeciwko mnie, *lungi* zniknie. Przyjdę, a ty zobaczysz prawdziwą scenę!

Była to tak śmieszna scena, że wszyscy studenci zaczęli klaskać, a on czuł się tak zakłopotany, że po prostu poszedł do swojego pokoju. Nigdy nie powiedział ani słowa o *lungi*. Wiele razy pytałem:

– Co z moim *lungi*? Czy coś chcesz z tym zrobić czy nie?

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, rób, co tylko chcesz – mówił. – Nie chcę nic mówić, bo cokolwiek powiem, ty jesteś niebezpieczny, nigdy nie wiadomo, jak to przyjmiesz. Nie mówiłem, żebyś zrzucił *lungi*, mówiłem, żebyś wrócił do swojego starego ubrania.

– To już minęło, koniec i już, ja nigdy nie wracam do przeszłości – odpowiadałem. – Teraz będę chodził w *lungi*.

Tak więc najpierw chodziłem w *lungi*, w długiej szacie. Któregoś dnia zrzuciłem ją i zacząłem używać szala. Znowu był wielki problem, ale on nic nie mówił. Wszyscy wyszli mnie zobaczyć, oprócz niego, może bał się, że zrzuciłem *lungi*! Zapukałem do drzwi jego pokoju.

– Zrobiłeś to już? – zapytał.

– Nie, możesz wyjść – odparłem.

Otworzył drzwi i wyjrzał, aby zobaczyć, czy byłem ubrany czy zrzuciłem wszystko z siebie.

– Zmieniłeś ubranie, szatę też? – spytał.

– To też zmieniłem – rzekłem. – Masz coś do powiedzenia?

– Nie powiem ani słowa – odparł. – O tobie nie mówię do nikogo. Dzwonią dziennikarze i pytają, jak na to pozwalamy na uniwersytecie. Jeżeli to stanie się precedensem, studenci też zaczną przychodzić w *lungi*, a potem i profesorowie. Mówię im, że cokolwiek się stanie, nawet jeśli wszyscy zaczną nosić *lungi*, według mnie wszystko jest w porządku. Zapewniłem ich, że nie będę ci przeszkadzał, bo grozisz, że jeśli to zrobię, przyjdiesz nago. I mówisz, że nagość to przyjęty duchowy sposób życia w Indiach. Mahavira był nagi, dwudziestu czterech tirthankarów dżinistów było nagich, tysiące mnichów nadal jest nagich, a skoro tirthankara może być nagi, to dlaczego nie profesor? Nagości w Indiach nie można nie szanować. Mówię więc ludziom, że jeśli naprawdę chcesz doprowadzić do chaosu... nawet na uniwersytecie masz swych wiernych, wielu studentów zrobi wszystko, co im powiesz. Lepiej więc zostawić cię w spokoju.

W ciągu całego życia stwierdzałem, że jeżeli jesteś gotowy poświęcić szacunek do siebie, możesz z łatwością żyć po swojemu. Społeczeństwo gra z tobą w pewną grę. Postawiło poszanowanie na zbyt wysokim piede-

stale w twoim umyśle i przeciwstawia mu wszystko to, czego nie chce, abyś robił. Jeśli to zrobisz, stracisz poszanowanie. Kiedy jesteś gotowy powiedzieć: „Nie dbam o poszanowanie”, społeczeństwo absolutnie nic nie może zrobić wbrew tobie.

Gdy zostałem nauczycielem na uniwersytecie i wszedłem do sali, zobaczyłem, że dziewczyny siedziały w jednym rogu, kilka rzędów ławek przede mną było pustych, a chłopcy siedzieli w drugim rogu. Zapytałem więc:

– Kogo mam uczyć? Te stoły i krzesła? Co to za bzdura? Kto wam tak kazał usiąść? Chodźcie tu wszyscy razem, przede mną.

Wahali się. Nigdy nie słyszeli, by nauczyciel kazał im usiąść razem.

– Natychmiast siadajcie tu razem, bo pójde do prodiokana i powiem, że dzieje się tu coś absolutnie nienaturalnego, niepsychologicznego.

Powoli, z wahaniem...

– Na co czekacie? Po prostu wstańcie i chodźcie tu usiąść wszyscy razem. Na moich zajęciach nie możecie siedzieć oddzielnie. Nie przeszkodzi mi, jeśli będziecie chcieli dotknąć którąś dziewczynę albo gdy jakaś dziewczyna pociągnie was za koszulę. Akceptuję wszystko, co jest naturalne. Nie chcę, żebyście siedzieli tacy zmrożeni, skurczeni. Na moich zajęciach tak nie będzie. Cieszcie się tym, że możecie być razem. Wiem, że rzucacie sobie kartki, kamienie i listy. Nie potrzeba, po prostu usiądź przy niej, daj jej list, cokolwiek chcesz, zrób to, bo przecież wszyscy jesteście seksualnie dojrzały, więc coś powinniście zrobić. A wy tylko studiujecie filozofię, jakbyście całkiem poszaleli! Czy to jest pora na studiowanie filozofii? To pora na pójście na randkę i kochanie się. Filozofia jest dobra na starość, gdy nic innego nie możesz zrobić, wtedy możesz sobie studiować filozofię.

Wszyscy bardzo się bali. Powoli zaczęli się odprężać, ale ludzie z innych przedmiotów poczuli zazdrość. Inni profesorowie donosili prodiokanowi: „Ten człowiek jest niebezpieczny. Pozwala chłopcom i dziewczynom robić to, czego my zabraniamy. Zamiast powstrzymywać ich kontakty, on im jeszcze pomaga! Mówi: „Jak nie wiesz, jak napisać list miłosny, przyjdź do mnie. Nauczę cię. Filozofia jest drugorzędna, niewiele warta. Przerobicie dwuletni program w pół roku. Przez pozostały rok i sześć miesięcy cieszcie się, tańczcie i śpiewajcie. Nie przejmujcie się”.

Prodiokan w końcu musiał mnie wezwać:

– Słyszałem o wszystkim. Co masz do powiedzenia?

- Ty chyba też byłeś studentem w tym uniwersytecie – powiedziałem.
- Tak, byłem – przyznał. – Jak inaczej mógłbym być prodziekanem?
- No to cofnij się trochę pamięcią do tych dni, kiedy dziewczyny siedziały z dala od ciebie – rzekłem. – O czym stałe myślałeś?
- Dziwny z ciebie człowiek – stwierdził. – Wezwałem cię po to, by się czegoś dowiedzieć.
- Zajmiemy się tym później, najpierw odpowiedz na moje pytanie – rzekłem. – I bądź szczerzy, bo jak nie, to jutro przed całym uniwersytetem zadam ci to pytanie, przy wszystkich profesorach i studentach. Możemy omówić to wszystko i niech oni zadecydują.
- Nie unosz się tak – odparł. – Może masz rację. Pamiętam, teraz jestem starym człowiekiem i mam nadzieję, że nie powiesz tego nikomu. Myślałem o tych dziewczynach. Nie słuchałem profesora, nikt go nie słuchał. Dziewczyny rzucały kartkami, my też, pisaliśmy do siebie listy.
- To mogę już iść? – spytałem.
- Oczywiście, idź i rób, co tylko chcesz – powiedział. – Nie chcę spotykać się z tobą przy ludziach. Wiem, że i tak wygrasz. Masz rację. Ale ja jestem biedny, muszę pilnować swojego stanowiska. Jeśli zacznę robić coś takiego, rząd zdejmie mnie z posady prodziekana.
- Nie interesuje mnie twoja posada – rzekłem. – Bądź sobie prodziekanem, ale pamiętaj, by nigdy mnie nie wzywać. Będzie wiele skarg, ale mówię ci to wyraźnie już teraz, że za każdym razem będę miał rację.
- Zrozumiałem – przyznał.

Potem zaczęli przychodzić do mnie studenci, chłopcy i dziewczyny, którzy nie byli na moim roku, i pytali:

- Czy my też możemy przyjść?
- Filozofia nigdy nie była specjalnie interesująca. Przyjdź! – mówiłem. – Każdy jest mile widziany. Nie sprawdzam list obecności. Co miesiąc, gdy trzeba oddać listę obecności, po prostu wypełniam ją na chybił trafił, nieobecny, obecny, nieobecny, obecny. Muszę tylko pamiętać, żeby każdy miał więcej niż siedemdziesiąt pięć procent obecności, by mógł przystąpić do egzaminu. Nie przejmuj się. Przyjdź.

Na moich zajęciach zawsze było więcej studentów niż miejsc, siadywali więc w oknach. A powinni wtedy być na zupełnie innych zajęciach.

Potem znowu były skargi, a prodziekan zapowiedział: „Nie składajcie mi żadnych skarg na niego. To twój problem, jeżeli studenci nie przychodzą

na twoje zajęcia. Co ja mogę zrobić? Co on ma zrobić, jeśli wolą iść do niego? To nie są studenci filozofii, ale oni nie chcą być na twoich zajęciach z historii, ekonomii czy polityki. Co mogę zrobić? Ten człowiek powiedział mi, że bym go nigdy nie wzywał, bo przemówi do mnie publicznie”.

Z każdego wydziału było jednak tyle skarg, że w końcu musiał przyjść. Wiedział, że lepiej było mnie nie wzywać, przyszedł więc na moje zajęcia. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Na filozofii jest bardzo niewielu studentów, bo filozofia nie jest dobrze płatnym zajęciem. Sala była przepelniona, nawet nie miał jak wejść. Wiedziałem, jak stał w drzwiach, za studentami.

– Wpuście prodziekana – powiedziałem. – Niech on też nacieszy się tym wszystkim, co tu się dzieje.

Kiedy wszedł, nie mógł uwierzyć, że dziewczyny siedziały razem z chłopcami i wszyscy z radością słuchali tego, co mówiłem. Nikt nie przeszkadzał, ponieważ zapobiegłem temu jeszcze u korzeni. Teraz chłopiec siedział przy swojej dziewczynie, nie musieli rzucać kamieniami i pisać listów.

– Nie mogę uwierzyć, że jest tu tyle osób i taka cisza – powiedział.

– Musi tak być, bo niczego nie tłumimy. Powiedziałem studentom, że jeśli chcą wyjść, nie muszą pytać mnie o pozwolenie, mogą po prostu wyjść. Jeśli chcą wejść, mogą po prostu wejść, nie muszą mieć pozwolenia. To nie moja sprawa, czy tu są czy nie. Ja zajmuję się nauczaniem, więc jeśli chcesz tu być, to dobrze, a jak nie, to wyjdź. Ale nikt nie wychodzi.

– Tak powinno być na wszystkich zajęciach – powiedział prodziekan. – Ale ja nie jestem tak silny jak ty, nie mogę powiedzieć rządowi, że tak to powinno się dziać.

Zostałem wezwany na zebranie, gdzie zgromadziło się wielu prodziekanów i dziekanów uniwersytetu. Martwił ich brak dyscypliny w szkołach i na uniwersytetach. Martwiło ich, że nowe pokolenia nie okazują szacunku nauczycielom. Wysłuchałem ich poglądów i powiedziałem:

– Widzę, że zgubiliście gdzieś to, co najważniejsze. Nauczyciel to ktoś, kogo szanuje się tak po prostu, więc nauczyciel nie może żądać szacunku. Jeżeli nauczyciel żąda szacunku, pokazuje tylko, że nie jest nauczycielem, że wybrał niewłaściwy zawód, że nie powinien się tym zajmować. Sama definicja nauczyciela mówi o kimś, kogo szanuje się przez to, kim jest – nie dlatego, że trzeba go szanować. Jeżeli musisz go szanować, co to będzie za

szacunek? W samym zwrocie „muszą szanować” ginie całe piękno, taki szacunek nie jest żywy. Jeżeli musisz go okazywać, to oznacza, że go nie ma. Gdy szacunek jest, nikt nie zdaje sobie z niego sprawy. On po prostu jest. Kiedy tylko pojawi się nauczyciel, ten szacunek sam płynie. Zamiast żądać od studentów szacunku dla nauczycieli, zastanówcie się jeszcze raz – na pewno wybraliście niewłaściwych nauczycieli, którzy tak naprawdę wcale nie są nauczycielami.

Nauczyciele rodzą się tak samo jak poeci, bo to jest wielka sztuka. Nie każdy może być nauczycielem, ale ze względu na powszechne kształcenie potrzeba milionów nauczycieli.

Pomyśl o społeczeństwie, według którego każdego należy nauczać poezji i że muszą jej nauczać poeci. Potrzeba będzie milionów poetów. Oczywiście powstaną uczelnie kształcące poetów. Będą to pseudopoeci, którzy zaczną domagać się: „Szanujcie nas, przecież jesteśmy poetami. Dlaczego nas nie szanujecie?” To właśnie stało się z nauczycielami.

Dawniej było bardzo niewiele nauczycieli. Ludzie wędrowali tysiące kilometrów, aby znaleźć nauczyciela, być z nim. Był ogromny szacunek, ale opierał się on na właściwości bycia nauczycielem. Nie był wymagany od ucznia czy studenta. To po prostu działało się samo z siebie.